Luty 2014

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

200

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

DWIEŚCIE

Czas płynie jakby coraz szybciej i ani się obejrzeliśmy, a tu minęło kolejne 5 lat i kolejne 50 numerów Mammuthusa. Mimo kryzysu – zarówno tego europejskiego jak i kryzysu motywacji Redakcji pisemko przetrwało. 20 lat regularnego pojawiania się tego typu periodyku, to w dzisiejszych czasach – gdy wszystko jest tak dynamiczne, tymczasowe i zmienne – zapewne jakiś ewenement lub wybryk przyrody. Ale to nie tylko zasługa Redakcji, ale również wszystkich, którzy przysyłają swoje teksty. Cieszy zwłaszcza każdy tekst nowych, młodych autorów – zarówno z grona Harnasi jak i – coraz częściej – kursantów. Mimo to ciągle tych tekstów trochę brakuje, zatem Redakcja ponawia nieustający apel o dzielenie się swoimi wspomnieniami, informacjami, wrażeniami i refleksjami z górskich i krajoznawczych wędrówek.

Można by zapytać – „Po co to wszystko?"

Jeśli macie wątpliwości, to zajrzyjcie do archiwum MM – wczytajcie się w teksty swoje własne i swoich kolegów sprzed kilku czy kilkunastu lat, spójrzcie na zdjęcia, pośmiejcie się ze „złotych myśli", a potem wyobraźcie sobie, że usuwamy całą tę historię, tak jakby jej nie było. O ileż uboższe byłoby nasze środowisko bez tej naszej zbiorowej pamięci, której część stanowi 200 numerów Mammuthusa.

Z okazji jubileuszu nie będzie wprawdzie zapowiadanej hucznej imprezy, ale za to – zupełnie przypadkiem – wydanie dwusetnego numeru MM zbiegło się w czasie z pierwszym po dwóch latach przerwy Blachowaniem stanowiącym na dodatek pierwsze blachowanie wydłużonego kursu prowadzonego na nowych zasadach i obejmującego całe Beskidy. Zgodnie z życzeniem blachowanych impreza odbędzie się na nowym TU, w schronisku na Turbaczu.

Dlatego Redakcja postanowiła, że MM200 ukaże się właśnie na Blachowaniu, na wysokości 1310 m n.p.m i w związku z jubileuszem przybierze znów – jak za dawnych czasów – niewirtualną, papierową postać. Z tego samego powodu cały numer poświęcony jest kończącemu się kursowi i nowoblachowanym.

Na koniec można by zadać pytania – jak długo jeszcze, ile numerów, czy będzie kolejny jubileusz? Czy MM przetrwa do końca świata i o jeden numer dłużej ? Czy znajdzie się kiedyś ktoś, kto zastąpi dotychczasową Redakcję? Tego pewnie nikt nie wie, ale ponieważ życie nie znosi próżni, więc zapewne COŚ będzie. A tymczasem zapraszam do lektury dwusetnego i najbliższych numerów Mammuthusa Montanusa.

Redakcja

OBÓZ KURSOWY - BESKID ŻYWIECKI

DZIEN 1 – TOMEK

W dniach 6-14 lipca 2013 r., odbył się ostatni, planowy wyjazd kursu przewodnickiego 2012/2013 – obóz po Beskidzie Żywieckim.

W sobotni poranek wsiadamy z Fatimą do busa relacji Katowice-Kraków, gdzie spotykamy Krzysia-Misia (33% ekipy prowadzącej obóz). W Krakowie dołącza do nas Iwona, Marta i Gosia. Pakujemy się w busa do Rabki, który opuszczając dworzec zatrzymuje się by zabrać spóźnionego Jacka (kolejne 33% kadry szkoleniowej). Krótka drzemka w busie i... Rabka-Zdrój.

Z racji zaledwie godziny wolnego czasu do odjazdu pociągu ku Pyzówce, w odgórnie narzucony, niemetodyczny sposób dokonuję szybkiego oprowadzania naszej grupy po Rabce. Żwawym krokiem, Głównym Beskidzkim dochodzimy pod tężnię solankową w Parku Zdrojowym. Szybka runda wokół tężni i wszyscy pełni nowych sił witalnych ruszamy dalej pod kościół św. Marii Magdaleny. Zwiedzamy znajdujące się wewnątrz muzeum regionalne im. Władysława Orkana. W drodze powrotnej mijamy Teatr Rabcio i już jesteśmy pod dworcem kolejowym, gdzie zdradzam tożsamość postaci stojącej na kuli ziemskiej. Padające propozycje – Papież, Mikołaj Kopernik – okazują się nie trafione. Jeszcze szybkie zakupy i siedzimy w pociągu do Pyzówki.

Wysiadka na przełęczy Sieniawskiej. Próbując skupić uwagę prowadzonych na swojej osobie, przegrywam (przynajmniej u płci słabej) z dochodzącym z krzaczorów – „miaaauuu, miauuu". I tak po chwili stan uczestników wycieczki zwiększa się o futrzaka. W powiększonym składzie ruszamy przez Pasmo Podhalańskie. Jak szybko fascynacja kotem przyszła, tak szybko minęła. Już na przełęczy Pieniążkowickiej został oddany w adopcję do jednego z gospodarstw. Pewnie z korzyścią dla kota bo kilkukrotna zmiana imienia (w ciągu godzinnej trasy) i snucie wizji zabrania go na Śląsk, nie wróżyły mu go nic dobrego.

Kot się pewnie już smaży w piekarniku, a my idziemy dalej. Po drodze funduję grupie ekstremalne zdobywanie Żeleźnicy wraz z jej licznymi wierzchołkami i przedwierzchołkami. Na przełęczy nad Harkabuzem dogania nas Fryzjer, dojeżdżający na obóz z Bieszczadów. W rejonie Łysej Góry zbaczamy z głównego wododziału europejskiego i przez pola kierujemy się do dzwonnicy loretańskiej w Podsarniu. Dzwonnica jest otwarta co umożliwia zapoznanie się konstrukcją od wewnątrz jak i wejście na jej najwyższą kondygnację. W obliczu nadciągających, ciemnych chmur pozwalamy sobie użyć dzwonnicy zgodnie z jedną z jej funkcji. Jak się okazuje – skutecznie!!!

Dalej kierujemy się do kościoła św. Marcina w Podwilku, a następnie doliną Bembeńskiego Potoku na studencką bazę namiotową „Madejowe Łoże", która wbrew swej nazwie gwarantuje komfortowe warunki noclegowe. Wieczorem na bazę, samochodem dociera Metzger. Dzień kończymy pulpą i ...pierwszym na tym obozie sądem kapturowym.

DZIEN 2 – IWONA

Drugi dzień obozu, to nasze zmagania z Orawą i pierwszą częścią pasma Polic. Na początku w stylu sardynek z puszki w Metzgerowym Seicento zwiedziliśmy Orawkę i dojechaliśmy do Zubrzycy Górnej. Stamtąd po zwiedzeniu orawskiego skansenu ruszyliśmy na szlak. Chociaż słowo „szlak" jest w tym przypadku odrobinę na wyrost. Zamiast wcześniej przygotowanej trasy postanowiliśmy zgodnie z zasadą, że „nie ma dnia bez chaszczowania" zdobyć niepozorny i (jak nam się wówczas wydawało), niemalże dziewiczy szczyt Kiełka. Tego dnia kursanci okazali się być grupą nastoletnich harcerzy, którzy jako jedyni byli chętni i gotowi na taką przygodę. Po sprawnej zbiórce i małej porcji musztry rozpoczęliśmy wędrówkę.

Kiełek przygotował dla nas parę niespodzianek. Po pierwsze okazało się, że 960 metrów wysokości może dać w kość zwłaszcza, gdy podchodzi się prosto pod górę nie patrząc na nachylenie terenu i coraz bardziej gęstą roślinność. Co więcej musieliśmy dwukrotnie wycofywać się z ataków szczytowych powstrzymywani przez gęsty las jodłowy. Lecz to nie tylko nie złamało ducha dzielnych harcerzy, a wręcz rozbudziło ich ambicję zdobycia tego dzikiego wierzchołka. Poszukując dogodniejszego miejsca na podejście natrafiliśmy na… szlak papieski, który poprowadził nas prosto na szczyt. Jak się okazuje papież chodził w Beskidach dosłownie WSZĘDZIE. Trochę niepocieszeni szybko uzupełniliśmy elektrolity i niczym „kula śniegulalalala" ruszyliśmy na dół, w kierunku Sidziny. Stamtąd już przy zachodzącym słońcu dotarliśmy na halę Krupową, na której czekał na nas Metzger. Dla wyjaśnienia z Metzgerem rozstaliśmy się w Zubrzycy. Warto zaznaczyć, że różnica w czasach dojścia pozwoliła Metzgerowi zapełnić nieco kasę schroniska na Krupowej, przeczytać książkę i zebrać całkiem pokaźny stos drewna. Wie-

... c.d. str 2

Redakcja: Jacek Ginter, mm@skpg.gliwice.pl Nakład 100 egz.+pdf (www.skpg.gliwice.pl/publikacje/mammuthus-montanus/)

czorem czekało nas ognisko pod rozgwieżdżonym niebem, kolejny odcinek sądu kapturowego, śpiewanie przy gitarze i pierwsze na tym obozie brawurowe wykonanie Janicka. Mimo, że jak się później okazało Janicek stał się naszą obozową tradycją, to chyba właśnie wtedy, śpiewany przy ognisku, na hali, obok pasterskiego szałasu miał w sobie najwięcej magii.

DZIEŃ 3 –FATIMA

Dzień trzeci rozpoczął się urozmaiconym śniadaniem przy wygasłym ognisku, przed bacówką na Hali Krupowej. Stamtąd, jako grupa wszechwiedzących emerytów, zakręconych na punkcie Jana Pawła II udaliśmy się w kierunku szczytu Okrąglicy. Naszym celem było przejście Pasma Polic i zejście na nocleg do Zawoi. Problemy na tej z pozoru łatwej i przyjemnej trasie zaczęły się już na początku, kiedy to jeden z uczestników wycieczki wyjątkowo namolnie dopytywał, kiedy wreszcie dojdziemy na to Skrzyczne („bo z masztem") i informował całą resztę, że Zbiornik Orawski to... Jezioro Żywieckie („bo ze Skrzycznego widać"). No cóż... ze starszymi się nie dyskutuje.

Po zwiedzeniu kaplicy na Okrąglicy udaliśmy się na popas do schroniska PTTK na Hali Krupowej, skąd po odpoczynku ruszyliśmy prawie wszyscy w dalszą drogę na Policę, szlakiem im. K. Wojtyły (a jakże!). Dlaczego „prawie" wszyscy? No cóż, niektórzy musieli przecież uskutecznić pranie! Całe szczęście poszło im to sprawnie i dołączyli niebawem do reszty. W tzw. międzyczasie zrobiliśmy jeszcze baardzo dokładną, acz miejscami kontrowersyjną panoramkę (lokalizacja Potrójnej miała się wyjaśnić dopiero następnego dnia na Babiej). Wreszcie dotarliśmy na Policę, gdzie naszym oczom ukazał się piękny widok na Królową Beskidów. Stamtąd poszliśmy na Halę Śmietanową, na której spodziewaliśmy się znaleźć pole jagód. Niestety, najwidoczniej ktoś był przed nami... Bez szans na wieczorne naleśniki z jagodami, ale za to nakarmiwszy oczy jeszcze lepszym widokiem na Babią Górę, udaliśmy się w dalszą drogę przez Mosorny Groń do Zawoi. Po drodze nie mogło oczywiście zabraknąć przygód – tym razem były one związane z pewnym zwodniczym konnym szlakiem oraz moim roztargnieniem. Na szczęście nie musieliśmy się zbyt daleko wracać, a po pewnym czasie moi emeryci chyba puścili w niepamięć tę pomyłkę, gdyż z zainteresowaniem słuchali o ziołach, rodzajach szczawiu i metodzie na rozpoznawanie buka. I nawet już nie słyszałam co chwilę, że „mój wnuczek tu był, to wie lepiej", albo „pani! jo mom sztuczne biodra, co to za trasa?!"

Po zrobieniu zakupów (i przywitaniu Oli, która dołączyła do nas przed sklepem) ruszyliśmy na nocleg. Po drodze podziwialiśmy jeszcze wychodnię fliszu karpackiego oraz zobaczyliśmy siedzibę Babiogórskiego PN. Ostatecznie do skansenu dotarliśmy już po zmroku. Nie był to jednak koniec niespodzianek i atrakcji w tym dniu – zaklinowana w drewnie siekiera, kanister i miednica w roli prysznica, a także radosne „syntetyczne słowotwórstwo", to tylko niektóre z nich. Do tego doszła pyszna pulpa ryżowa na słodko-kwaśno, przez co nawet wieczorny sąd przebiegł w miłej atmosferze i radosnych humorach.

Trzeba nadmienić, że trzeci dzień obfitował w szereg jakichś magicznych trudności, spowalniających nas złośliwie. Czas naszego przejścia sprzed bacówki na Okrąglicę podczas wieczornego podsumowania celnie skomentował Krzysiek, stwierdzając, że: „***półgodzinną trasę przeszliśmy w 6 godzin***", po czym dodał: „***pytanie, czy to źle?***", czym wywołał ogólną wesołość. Ale przecież zbyt szybko nie mogliśmy iść – wszak dla emerytów była to i tak wymagająca trasa... Spać kładliśmy się dość późno, z perspektywą zdobywania Babiej Góry w piekielnym upale. No, ale przecież NIE MA RZECZY NIE MOŻLIWYCH, o czym na obozie mieliśmy się przekonać jeszcze niejeden raz.

DZIEŃ 4 – MARTA

Pobudka standardowo miała nastąpić o 7:30 – no chyba, że ktoś musiał przygotować śniadanie… albo pobiec po chleb… albo uprać skarpety. Ogólnie mówiąc w Skansenie w Markowej śpi się doskonale i po 4 godzinach snu wstawać się za bardzo nie chce. Na szczęście perspektywa wspinania się na Beskidzką Królową rozbudza lepiej niż czarna kawa. Albo to, albo moje nerwowe pokrzykiwanie, irytujące ze względu na porę i tembr głosu, sprawiło, że udało nam się ruszyć tylko z małym, 15 minutowym opóźnieniem w stronę wejścia do Parku Narodowego.

Grupę, którą przyszło nam prowadzić wspólnie z Gosią stanowili licealiści. Grupa trudna, bo uzbrojona w zapas pytań i niezbywalny argument „ale mój tata zapłacił, więc ja chcę". Na szczęście można zawsze zagrozić sprawdzianem i skusić dodatkową piąteczką z geografii. Trzeba przyznać, że aktorsko kurs spisał się świetnie – widać było to najlepiej przy kasie, gdzie pan sprzedający bilety wpatrywał się w nas z niemałą konsternacją, w dłoni trzymając bilety normalne, bądź studenckie i słuchając, jak dwudziestokilkuletni ludzie zwracają się do mnie słowami: „Proszę pani, ale pani nie może z tego pytać!" i grzecznie podnoszą rękę zapytani o piętra roślinne.

Szlak zielony, który prowadzi do schroniska jest bardo przyjemny – piękny las, niezbyt stromo i mnóstwo tematów do przedstawienia – dzięki o Bożku Beskidku za flisz karpacki i ruchy masowe. Oczywiście można zawsze pomylić świerk z jodłą – mea culpa.

W samym schronisku czekało nas natomiast trochę historii, zwiedzanie muzeum i oczywiście pyszne kanapki. Tutaj też nastąpiła zmiana prowadzącego – teraz Gosia Percią Akademików musiała poprowadzić rozbrykanych uczniów szkoły średniej, którzy mieli albo obolałe stopy, albo lęk przestrzeni, albo… PMS. Na szczęście wejście poszło sprawnie (mimo, że w przeciwieństwie do ekipy przed nami mieliśmy tylko po dwie ręce, a nie cztery).

W końcu dotarliśmy na Babią – i tu horror i koszmar każdego kursanta – panorama 360 st. i bezchmurne niebo. Po 4 godzinach i 40 minutach udało nam się przez nią przebrnąć, przedstawiając ją wycieczce wysportowanych księży, emerytom i kilkuletnim dzieciom. Da się? Da się. Tym samym rekord został pobity i mogliśmy (znów ze mną w roli przewodnika) udać się przez Małą Babią na Przełęcz Jałowiecką. Jakby ktoś miał wątpliwości – to owszem, zachód słońca z Cylu wygląda cudnie i owszem, o 21 na Przełęczy Jałowieckiej jest już ciemno.

Tu zaczyna się najciekawszy moment wycieczki. Jako, że nocleg tego dnia wypadał nam na Głuchaczkach, zamiast iść grzecznie szlakiem, kurs (w myśl zasady, nie ma dnia bez chaszczingu) wszedł z pieśnią na ustach pomiędzy krzaki, a potem w młodnik świerkowy, a potem w bukowy, by w końcu wylądować u naszych południowych sąsiadów – Słowaków. Kolejna zmiana prowadzącego i tym razem już bez nerwów doszliśmy najpierw żółtym szlakiem, a potem przez łąki do bazy namiotowej. Muszę przyznać, że mało jest piękniejszych widoków od światełka lampki powieszonej na jednym z namiotów o północy i nawet nasi licealiści zachwycili się tym obrazkiem.

Na dobry początek kolejnego, rozpoczynającego się już dnia zjedliśmy jeszcze gar łazanek i udaliśmy się wszyscy na zasłużony wypoczynek

DZIEŃ 4 GOSIA

Prowadzenie na przemian z Martą, która idealnie wczuła się w rolę pani przewodnik z zacięciem pedagogicznym, nie było łatwym zadaniem. Przejęłam pałeczkę i wspinając się po stromych zboczach Babiej oraz łańcuchach i klamrach, a także porozrzucanych „przez wiedźmę" wielkich głazach, dotarliśmy szczęśliwie na szczyt Diablaka. Po drodze starałam się zaciekawić moich podopiecznych otaczającą przyrodą, historią, jak również ciekawostkami. Aż dziw, że nikt się nie wiercił, nie przeszkadzał i nie biegał „po klasie". Widać wycieczka w góry, dawka świeżego powietrza i zdrowe zmęczenie działa na największych klasowych łobuzów.

Podczas schodzenia z Cylu, Marta „wyciągnęła" swojego Asa z rękawa i zauroczyła wszystkich legendą o kwiecie paproci. Ostatecznie udało mi się doprowadzić wszystkich na bazę na Głuchaczkach. Podobno było nas słychać z daleka, bo bazowa na nasz widok prosiła, byśmy zbytnio nie imprezowali, gdyż na bazie śpią zmęczeni turyści... Łazanki z boczkiem, kapustą i grzybkami (pomysł mój i Marty) podziałały na nas kojąco. Cierpliwość i trud zostały wynagrodzone spokojnym snem.

DZIEŃ 5 BARTEK

Grupa sportowców zaczyna dzień od rozgrzewki. Na moje polecenie naprawdę starali się zgiąć stopy w kolanach. Jednak z koordynacją psychoruchową po 4 dniu wędrówki był lekki kłopot. Po streczingu z uśmiechami na twarzy wyruszamy w trasę z bazy na Głuchaczkach. Mijając przełęcz pojawia się pytanie „gdzie ten kaptaż?!" – chyba Rewasz mocno naciąga fakty. W końcu natrafiamy na Półgórzankę. Wędrując słowacką stroną wzdłuż potoku spotykamy interesujące miejsce w sam raz do zażycia orzeźwiającej kąpieli w jednym z kotłów denudacyjnych z niesamowitą, naturalną ... zjeżdżalnią po kaskadach potoku. Jedni preferują na tyłku inni próbują na karimacie (na tyłku podobno szybciej). Po kąpieli, gdy lodowata woda wbijając miliony igieł w nasze ciała skutecznie wypędza nas z wodnej atrakcji wszyscy rozkładamy się na

płytach skalnych i wygrzewamy się.

Po niespełna godzinnej przerwie wyruszamy w dalszą trasę. Słońce w pełni, a w oddali na niebie pojawiają się Cumullusy i Stra... nie to oczywiście Cirrusy! Przebijając się znów na stronę Polską nie uniknęliśmy haszczowania i wdepnięcia po kostki w błoto. Potem ten specyficzny odór towarzyszył mi przez kilka kolejnych dni.

Schodząc do Korbielowa nie mogło zabraknąć panoramki raczej średniej długości (ok.1,5 godz.). W Korbielowie mieliśmy zrobić zakupy i poopowiadać o Madonnie Kresowej od Bodahryczów. W samym sklepie pojawia się tysiąc pomysłów na dzisiejsze jedzenie. Gdy już podejmujemy decyzję okazuje sie, że albo kurczaka nie ma, albo szpinaku za mało. Wreszcie udaje się wszystko dograć i uzupełnić zapasy wieczornych elektrolitów. Z pełnymi worami ruszamy pod górę na Górową. To było mozolne podejście, jednak sportowcy spisali się i weszli na zaledwie jednej kostce czekolady. Ta słodka przyjemność może sprawić cuda – trzeba ją tylko zaaplikować w odpowiednim czasie i miejscu. Na hali szybka panoramka, bo czeka nas jeszcze wejście na Pilsko, a zmrok tuż tuż.. tuż tużżżż.

Na szczyt wchodzimy bez plecaków więc idzie to sprawniej, prawie wbiegamy jak przystało na wytrenowanych, zahartowanych w boju kursantów–sportowców. Jednak przejrzystość wieczornego nieba spada, a w tle za B. Małym zbierają się czarne chmury i pojawiają się błyskawice rzucane przez Donata. Widocznie bicie dzwonów loretańskich odstrasza płanetniki jedynie na 3 dni. Robimy prawdziwie ekspresową panoramkę na część północną Żywiecczyzny i szybkim pędem schodzimy na Miziową gdzie raczę grupę „entuzjastycznymi" opowieściami o białym szaleństwie uprawianym tu w zimie. Już po zmroku docieramy do bazy namiotowej.

Szybka pulpa, ognisko i opowieści jak to przewodnik oprowadza grupę szkolną z niereformowalnymi nauczycielkami skutecznie wprawia nas w letarg. To chyba jeden z tych dni gdzie idziemy spać wcześniej czyli przed 2:00. Gitary w tym dniu nawet nie odpaliliśmy. To był ciężki dzień zważywszy, że wykazałem się wszystkimi możliwymi błędami metodycznymi w prowadzeniu. Ale była to dobra lekcja chyba dla wszystkich. Cóż, „czasem w życiu zdarza się pechowy dzień". A w głowach tuż przed zaśnięciem pojawia się pytanie – „Ciekawe co przyniesie kolejny dzień..."

DZIEN 6 – FRYZJER

Dnia szóstego obudził nas miarowy stukot kropel deszczu o stalowy dach bacówki na Hali Górowej. Wstać było ciężko, zebrać się do wyjścia na deszcz jeszcze ciężej. Zwłaszcza, że w zaplanowanej na 12 godzin trasie 5 godzin przeznaczyłem na panoramki, które jak powszechnie wiadomo, w deszczu i mgle są praktycznie niemożliwe. Już za kilka godzin miałem sobie uświadomić, jak bardzo się myliłem. Gdy tylko deszcz zelżał spróbowaliśmy wyruszyć. Tego dnia reszta kursantów i przewodników miała się wcielić w grupę Górniczo-Hutniczej Orkiestry Dętej. Pierwsze problemy pojawiły się przy zbiórce, gdyż sekcja instrumentów blaszanych tradycyjnie nie potrafiła się wyrobić. Gdy już udało nam się zebrać, część grupy odkryła cudowny kran, z którego sączyć się miał 40-to procentowy roztwór etanolu. Próby wchłonięcia tej substancji były zresztą podejmowane aż do wieczora.

W końcu udało się jednak opanować muzyków i wyruszyliśmy w kierunku Hali Miziowej, na którą jednak nie doszliśmy. Kilkadziesiąt metrów przed halą odbiliśmy w las szukając resztek dawnego Chodnika Arcyksięcia. Wąska i zarośnięta ścieżka w końcu zgubiła się na rozjeżdżonym traktorami terenie ścinki, ale nam udało się bez większych problemów trafić na halę Cudzichową. Tamże zakupiliśmy oscypka i udaliśmy się na krótki odpoczynek do pustego szałasu. Po wykręceniu skarpetek i zjedzeniu kilku kanapek powróciły nam siły, a my powróciliśmy na szlak.

Jako iż trochę się rozchmurzyło zrobiliśmy szybką panoramkę, w trakcie której spotkaliśmy młodego juhasa na quadzie pytającego, skąd idziemy i czy nie widzieliśmy stada owiec. Owce spotkaliśmy kawałek dalej, gdy przystanęliśmy na Palenicy. Prowadził je wyraźnie zdenerwowany pasterz, co grupa skwitowała hasłami „program Owca Kurwa Plus" i „Czy ta Unia wie, za co płaci!?" Później spotkaliśmy jeszcze dwie samotne owce, jedną z zakrwawionym podgardlem. Coś z tym wszystkim było mocno nie tak jak powinno. Poza oscypkiem. Oscypek był pyszny.

Nie licząc owiec i jakiejś panoramki bez większych utrudnień dotarliśmy na Rysiankę, gdzie zrobiliśmy kolejną krótką przerwę. Po wyjściu ze schroniska zaczęły się panoramki "co by tu było widać" lub "wyobraźcie sobie, że stoimy na X i patrzymy w kierunku Y". Przysięgam, już nigdy nie stwierdzę, że mgła jest przeszkodą w panoramkowaniu.

Na Hali Redykalnej odbiliśmy na Zapolankę i do chatki na Zagroniu. Na tym ostatnim odcinku wspaniałomyślnie podarowano nam nawet jedną panoramkę (!!!). A na chacie to co zwykle – przywitanie, rozłożnie rzeczy do suszenia, jedzenie, sąd kapturowy, śpiewy do 4, Janicek i spać.

DZIEN 7 – OLA

Lekko zestresowana odpowiedzialnością, jaka miała spoczywać na mnie następnego dnia, poszłam spać zaraz po obiedzie, czyli około 1 w nocy. Po kilku godzinach prawie-że spania przy akompaniamencie odgłosów wydobywających się z gardeł pozostałych obozowiczów, wciąż ze zwiniętym w kłębek żołądkiem przystąpiłam do budzenia – zgodnie z życzeniami – odśpiewaniem „słoneczko nasze rozchmurz buzię". Entuzjazm wstających był z pewnością równie wielki co skryty.

Pierwszą rzeczą, jaka została nam do odfajkowania przed wyjściem, była podarowana nam poprzedniego dnia panoramka. Jak wiadomo, z chatki na Zagroniu roztacza się piękny widok na... drzewa. Ale w końcu mieliśmy już praktykę w robieniu wirtualnych panoramek na mgłę z dowolnego miejsca (niekoniecznie tego, w którym stoimy), więc nic już nie było w stanie nas zaskoczyć.

Jako grupa niezbyt rozgarniętych gimnazjalistów zeszliśmy do Ujsoł, a następnie poszliśmy dalej doliną Danielki w stronę Chatki Chemików. Tam, brudząc podłogę mokrymi skarpetami, a inne części wyposażenia innymi mokrymi częściami odzieży, zjedliśmy drugie śniadanie. W zamian za gościnę zapewniliśmy też chatkowemu i gościom trochę rozrywki, odstawiając tańce, pląsy i zabawy przed chałupą – wszystko oczywiście w pełnym uzbrojeniu, czyli z plecakami na plecach.

W drodze na Mładą Horę, gimnazjaliści zaczęli czerpać garściami z worka bez dna o nazwie „jak wyprowadzić z równowagi panią przewodnik", między innymi puszczając dzwonki z telefonu w trakcie fascynującej – przecież – opowieści o rezerwacie na szczycie Muńcuła, wspinając się na drzewa, chowając sobie nawzajem plecaki i idąc środkiem jezdni. Jak widać kursanci (...i nie tylko), po 6 dniach obozu, w skórze czternastolatka czują się najlepiej.

Na Mładej Horze pan z byłego schroniska opowiedział nam o kapliczce, po czym zmieniając trochę plany z powodu warunków pogodowych, zeszliśmy zarośniętym niebieskim szlakiem do doliny Rycerek. Idąc sięgającymi pasa trawami sprawdziliśmy przy okazji, ile wody są w stanie wchłonąć nasze ubrania i buty. Odpowiedź oczywista – dużo – ale przecież zawsze dobrze jest się przekonać empirycznie. W dodatku po drodze zaczęły nam utrudniać życie deszcz i błoto. I ciemność, która zapadła gdzieś w dolinie Rycerek.

Naszym celem był tego dnia Przysłop Potócki, zatem w warunkach najlepszych z możliwych – ciemno, zimno, deszcz i mgła – zaczęliśmy pruć w górę bez szlaku. Na szczęście udało się to bez większych problemów i już w okolicach 23:00 byliśmy na miejscu, gdzie zresztą „ciemno, zimno, deszcz i mgła" nas nie opuściły. Choć akurat z mgłą nikt nie miał problemów, biorąc pod uwagę, że wychodki na bazie drzwi nie mają. Swoich gimnazjalistów, do których przez ten długi dzień zdążyłam się przywiązać, pożegnałam gumami z naklejkami „hello kitty", które mam nadzieję pocieszyły ich trochę w długich godzinach oczekiwania na pulpę, które potem nastąpiły. Jak się dowiedzieliśmy, i tak dzień był w wersji light. W planie była jeszcze nocna panoramka z Bendoszki – świecąc latarką na zdjęcie na platformie widokowej. Za wyrozumiałość prowadzącym dziękujemy.

DZIEN 8 – AGNIESZKA

(by Iwona & Ola)

Poranek był dla nas wyjątkowo ciężki tego dnia – deszcz deszczem, ale 8 dzień obozu nawet dla najtwardszych organizmów jest wyzwaniem. Dlatego mimo wczesnej pobudki, zebraliśmy się do drogi dopiero o 9, karceni od samego rana przez naszą panią przewodnik – Agnieszkę. My, jako grupa nauczycieli na wycieczce zakładowej, oczywiście „wiedzieliśmy lepiej", poza tym nikt nam przecież nie będzie kazał ustawiać się w rządku. Innymi słowy, zapowiadał się ciężki dzień.

W końcu udało nam się jednak wyruszyć. Po panoramkach na okoliczne góry, wybraliśmy mocno alternatywną trasę na Bendoszkę, którą zdobyliśmy od dość niekonwencjonalnej strony. Tam, po oderwaniu nas od borówek, godzinka panoramki i odpytywanie typu ping-pong – w nagrodę za górę łyk kasztelana. Z Bendoszki na Przegibek i tam dłuższa przerwa, oraz imagogenne trunki, które zdecydowanie poprawiły nam inwencję twórczą. I tak zaczęła się zabawa, a zmęczeni nauczyciele postanowili odreagować swoje stresy ze szkoły i tym samym lekko dać w kość pani przewodnik. Na przykład na komendę „idziemy na wprost" poszliśmy – tylko, że każdy w inną stronę, gdyż „na wprost" dla każdego było gdzie indziej. Nie wspominając już o zabawach w pociąg, spożywaniu zabronionych trunków za plecami pani przewodnik i innych karygodnych zachowaniach. Trzeba przyznać, bawiliśmy się przednio.

Dalsza trasa prowadziła do Rycerki Kolonii, gdzie zaopatrzyliśmy się na wieczorną, poże-

gnalną imprezę. Po krótkiej panoramce w rytmie disco-polo z pobliskiej chałupy, poszliśmy dalej, niebieskim szlakiem w stronę grzbietu granicznego. A raczej wspomnieniem szlaku, gdyż znaki zostały zamazane, a my kluczyliśmy tego wspomnienia usilnie szukając. Na szczęście nasi prowadzący skutecznie pomagali nam przetrwać najtrudniejsze chwile, wybierając ten czas jako idealny do odpytywania ze wszystkich możliwych tematów – dość powiedzieć, że w stronę Iwony o godzinie 00:00 padło pytanie o historię Tymbarku i co takiego znajduje się tam na rynku. Ostatnie parę godzin szliśmy w deszczu i ciemnościach, myląc trasę i schodząc bocznym grzbietem w stronę Oźnej. W końcu, półżywi (lub, jak mówią pesymiści, półmartwi) o godzinie 1:00 w nocy osiągnęliśmy cudem nasz cel, czyli chatkę na Skalance. Tam oczywiście pulpa i podsumowujący sąd kapturowy, który na szczęście nie trwał spodziewanych trzech godzin. Śpiewy i impreza trwały do piątej rano, kiedy Krzysiu i Ola zebrali się na pociąg. Przed ich odejściem odśpiewaliśmy jeszcze Janicka tak, jakby nie było jutra – i z tego miejsca chcielibyśmy podziękować obsłudze, która jednak nie wyrzuciła nas z chatki za te atrakcje. Reszta, tzn. Iwona, Bartek, Tomek i Jacek, po aż dwugodzinnym śnie i błyskawicznym pakowaniu, popędziła na pociąg do Zwardonia. Dziwnym zbiegiem okoliczności od kiedy wsiedliśmy do przedziału w Zwardoniu, aż do Katowic nikt się do nas nie dosiadł (mimo, że korytarze były zapełnione ludźmi), a przecież nie mogło to mieć związku z naszym wyglądem i zapachem po 9 dniach łażenia i raczej skromnego mycia. Pytanie, czy to źle?

Tak mniej więcej zakończył się ostatni wyjazd kursowy, zostawiając po sobie pustkę, rozpacz i tęsknotę za lepszym życiem... bądź co bądź, najpierw chcieliśmy się wyspać.

OGOLNIE – KRZYSIU

Forma nie była skonkretyzowana, zatem postanowiłem w zwięzły sposób wyjaśnić Szanownym czytelnikom, skąd nasze ambitne tempo :-) A zatem przedstawiam moje spostrzeżenia, a w zasadzie krótkie sprawozdanie z obozu w formie nieco przydługiego telegramu:

Wstajemy. STOP. Sniadanie. STOP. Pakowanie. STOP. Ruszamy. STOP. Przemówienie powitalne. STOP. Ruszamy. STOP. Panoramka. STOP. Idziemy. STOP. Pasterstwo. STOP. Idziemy. STOP. Kornik Drukarz. STOP Idziemy. STOP. Geologia. STOP. Idziemy. STOP. Rezerwat. STOP. Idziemy. STOP. Panoramka. STOP. Idziemy. STOP. Kwiatki. STOP Idziemy. STOP. Zbójnicy. STOP. Idziemy. STOP. Panoramka. STOP. Idziemy. STOP. Kanapki. STOP. Idziemy. STOP. Oznaczenia beskidzkich szlakow. STOP Idziemy. STOP. Kaptaż. STOP. Idziemy. STOP. Schronisko. STOP Idziemy. STOP. Kapliczka. STOP Idziemy. STOP. Panoramka. STOP Idziemy. STOP. Inna panoramka. STOP. Idziemy. STOP. Jeszcze inna panoramka. Idziemy. STOP. Głupawka. STOP. STOP. Idziemy. STOP. Stara chałupa. STOP. Idziemy. STOP. Jodla & Swierk STOP Idziemy. STOP. Historia. STOP. Idziemy. STOP. Piętra roślinności. STOP. Idziemy. STOP. Architektura drewniana. STOP. Idziemy. STOP. Panoramka. STOP. Idziemy. STOP. Beskidenverein. STOP Idziemy. STOP. Panoramka. STOP. Idziemy. STOP. Roślinki. STOP. Idziemy. STOP. Przerwa. STOP. Idziemy. STOP. Robi się ciemno. STOP. Idziemy dalej STOP. Wyciągamy czołówki. STOP. Idziemy. STOP. Jest calkiem ciemno. STOP. Panoramka. STOP. Idziemy. STOP. Pada. STOP. Kapliczka. STOP. Idziemy bez szlaku. STOP. Roślinność na terenach podmokłych. STOP Idziemy. STOP. Jeszcze jedna panoramka. STOP. Idziemy, jeszcze pół godziny. STOP. Totalna głupawka. STOP. Idziemy. STOP. Dochodzimy. STOP. Ała, mam odcisk. STOP. Ała, ja też STOP. I ja! STOP. Stop, koniec marudzenia! Czas robić pulpę STOP. Jemy. STOP. Mamy kandydata do zmywania. STOP. I jeszcze jednego. STOP. Sąd kapturowy (loża szyderców). STOP. Gitara. STOP. Janicek. STOP. Czas spać. STOP. Relacja: STOP"

OGOLNIE – JACEK Ł.

Obóz letni 2013 – 9 dni w górach, od noclegu do noclegu, od Pyzówki (Orawa) do Zwardonia. Było pięknie – gorąco i zimno, słonecznie i deszczowo, panoramki w ukropie, w deszczu, we mgle, w nocy i w schronisku. Rekord zrobiony – 4h 40 min panoramki na Babiej Górze! Janicek przy ognisku, przy bacówce na Hali Krupowej po północy pięknie odśpiewany! Spanie w bazach namiotowych, bacówce, chatkach i skansenie. Ogniska, gitara i śpiew. I to śpiewanie na powitanie cywilizacji, że pewna orkiestra robi nam paparara – ach! To nic, że tylko kilka godzin snu dziennie. Śmiechu tyle, że na kilka wyjazdów by starczyło. Dzięki wielkie tym wszystkim, którzy byli :-).

BLACHOWANI 2014

Tomek Bochenek, blacha 378

Pochodzi z rodziny bez „górskich tradycji". Samozwańczy starosta grupy kursowej. Jak trafił do koła? Na jednym z rajdów usłyszał od żony Rafała Langrzyka – Pauliny: „Powinieneś iść na kurs przewodnicki, masz predyspozycje! Marudzisz, lubisz pić, rano nie chce Ci się iść w góry, a oni Cię jeszcze nauczą spóźniania się!". I poszedł... dla sławy, kobiet i pieniędzy. Miłośnik piwa, na które zawsze znajdzie miejsce w plecaku, nawet kosztem jedzenia.

Ola Ginter, blacha 379

Może i chodzi po górach od urodzenia, ale dopiero od dwóch lat robi to „świadomie". Jest matematykiem, a nie rachmistrzem, dlatego dalej tabliczkę mnożenia przelicza na palcach. Oprócz gór ma liczne zainteresowania związane z tęczami, jednorożcami i azjatyckimi serialami. Na kurs poszła bo... to było przeznaczenie.

Iwona Franke, blacha 380

Najmłodszy Harnaś, pH pełnej krwi z rodu Franke. Na kursie podmieniła swoją siostrę Agę, ale wszyscy dalej myślą, że była na nim od początku. Studiuje w Gliwicach i mieszka w akademiku, ale zamiast imprezować, woli czytać książki o Łemkach. Lubi udawać, że się wspina i potrafi rozpalić ognisko (mimo, że jest dziewczyną!).

Aurelia Golda, blacha 381

Beskidzki Sabała, z kawałka kamienia potrafi stworzyć fascynującą historię. Stosuje zasadę „do trzech razy sztuka" – na przykład jeśli chodzi o egzaminy praktyczne. Kurs to dla niej wspaniała odskocznia – bandę rozwrzeszczanych dzieciaków w pracy zamieniła na bandę niesfornych dorosłych w weekendy.

Bartek Łyczba, blacha 382

Szczupły 25-latek pochodzący z rodziny 'mugoli'. Wszedł do środowiska Harnasi trochę od kuchni, a potem zapisał się na kurs. Początkowo traktował to jako niezłą przygodę, a teraz dopełnienie jego charakteru. „Męski" facet – co próbował udowodnić na wyjazdach, ale nie zawsze wychodziło. Przeważnie siermiężny w słowie. Ma dużą tolerancję temperaturową, z racji urodzin w grudniu. Duch sportowca, wierzy, że „nie ma rzeczy niemożliwych". Czasami zaskakuje „dziwnymi" ciekawostkami. Pozytywnie nastawiony do życia.

Zdjęcia: (Aurelia)-Marta Stachurska, pozostałe-Tomasz Bochenek.

TO BYŁO

✔ 15-16.02 V Rajd Zimowy z metą w chatce w Sopotni zgromadził na dwóch trasach ok. 50 osób. Trasy prowadzili: Ola Ginter i Rafał Langrzyk oraz Staszek Wierzchowski.